ROK VI. CHICAGO, dnia 26 go STYCZNIA 1888. **No. 4.**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.
All comunications must be adressed:

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jaknajgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI.
Czwartek, 26 stycznia	Polikarpa B. M.	Skarbimir.
Piątek, 27 stycznia	Jana Chryzostoma B. W.	Przybysław.
Sobota, 28 stycznia	Flawina M.	Radomir,
Niedziela, 29 stycznia	4 po 3 Kr. Franciszka S.	Zdzisław.
Poniedziałek, 30 stycznia	Martyny P. M.	Dobrogniewa.
Wtorek, 31 stycznia	Piotra Nolasko	Spitogniew.
Środa, 1 lutego	Ignacego B. M.	Zegota.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ CZWARTĄ PO TRZECH KROLACH

Ewangielia św. Mateusza w rozdz. VIII. od w. 23 *do* 28.

Onego czasu, gdy Jezus wstąpił w łódkę, weszli z Nim uczniowie Jego. A oto wzruszenie wielkie stało się na morzu tak, iż się łódka wałami okrywała, a On spał. I przystąpili do Niego uczniowie Jego, i obudzili Go, mówiąc: Panie! zachowaj nas, giniemy. A rzekł im Jezus: Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? Tedy wstawszy rozkazał wiatrom i morzu, i stało się uciszenie wielkie. A ludzie dziwowali się mówiąc: Jakiż jest ten, że mu i wiatry i morze są posłuszne?

Leki na strachy śmiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

WSTĘP.

(Ciąg dalszy.)

Miły bracie! jać tam nie jestem świętym, a tyś już może dawno wyszedł z lat młodości. Pewnie też nie chcesz być adwokatem, zwłaszcza, że ich nie brak. Niechciałbym cię też wpędzić do klasztoru, bo byś tam mógł umrzeć z głodu po dzisiejsze zwłaszcza czasy, gdzie to powydzierano klasztorom dobra i majątki, a obrocono je na koszary dla wojska i na różne fabryki. Ale jednakże chciałbym z tobą pomówić, jak ów ś. Filip Nereusz z tym studentem. Wejrzyj jeno w siebie, i zobacz, co tam robi twoja duszyczka. Wszakże ona jako kurka siedzi i wysiaduje na gnieździe pełnem trosk, kłopotów, życzeń, planów różnych, myśląc sobie: żeby jeno to minęło, żeby się tego pozbyć, żeby jeno tamto się spełniło, tobym już chętnie o nic się nie kłopotała i niczego nie pragnęła. Jeśli umiesz trąbić, to zatrąb jakiego marsza, i ostro zakomenderuj, aby wszystkie pragnienia twoje, wszystkie ciężkie i wielkie troski, które się u ciebie rozkwaterowały, nieprzymierzając, jak jacy jenerałowie, albo, jak prości żołnierze, wystąpiły i maszerowały przed oczyma twej duszy, w zielonych mundurach nadziei, a w czarnych mundurach kłopotów. Przypuśćmy, że wszystko według twego życzenia się dzieje, że jeden kłopot po drugim topnieje jak śnieg i lód na wiosnę, a że ci wyrasta, kwitnie i zieleni się tylko sama radość, samo szczęście i wesele na ziemi; ale cóż potem? cóż w końcu? Zastanów się i zagłębij się mocno w to słowo: „a potem,“ co cię czeka na końcu. — Nie tętni ci tak coś w uszach, jakbyś słyszał, że trumnę zabijają? a oczyma twej duszy nie widzisz krzyża z daleka z daszkiem u góry, i twego imienia wypisanego na krzyżu? Nie czujesz zapachu ziemi, jakoby z świeżo wykopanego grobu? Albo, krótko mówiąc, nie przechodzi ci przez głowę ta myśl, że musisz umrzeć? Prawda, żeć jeszcze śmierć

cię nie dławiła za gardło, i z tąd też może sobie tak postępujesz, jak nie jeden sobie postępuje, jakoby wcale nie wierzył, że musi umrzeć, i jakoby śmierć tylko dla innych ludzi była, a naprzykład: dla bogatych ciotek, dla bezdzietnych stryjów, po których spodziewa się dostać niezgorszy majątek. A przecież nikt nie może zaprzeczyć, że musi umierać; a że nie może tego zaprzeczyć, choćby niewiem co wyrabiał i nie wiem jak tego sobie życzył, więc go to niepokoi okrutnie i zaprawia goryczą każdą chwilę niejednemu bogatemu pankowi, niejednemu chciwemu i niesumiennemu rzemieślnikowi i skąpemu chłopu wiarusowi, i nieraz gwoli tego przychodzą mu myśli do głowy tak czarne jak kruki. Albowiem śmierć jest strasznie mocna i uparta. Nie odpędzisz jej, choćbyś żandarmowi kazał ją odegnać, albo stróża nocnego do tego uprosił, lub nawet cały pułk wziął żołnierzy, ani nawet żaden doktór jej nie odpędzi i nie zabroni jej zabijać we dnie i w nocy, kogo sobie upatrzy. Śmierć zabija w mieście i po dworach pańskich, zabiera ze sobą kogo chce w ubogiej wioseczce.

Żeby to można przynajmniej z myśli wypędzić śmierć? Ale i to niepodobna. Nie zawsze podobna ci zatkać sobie uszy, kiedy dzwonią umarłemu na wieczny odpoczynek, nie zawsze możesz już naprzód odwrócić ócz, aby nie widzieć stolarza niosącego trumnę dla niego, albo aby nie widzieć jak niosą trupa koło twego okna. Idąc przez pole, nie zawsze uda ci się ominąć cmentarz, co się tam rozciąga za miastem lub wioską. Ba, toć kiedy w łóżku spoczywasz, i tu nawet nie dają ci pokoju myśli o śmierci. Jak te czerwone pluskwy, które ci w nocy krew wypijają, tak te myśli właśnie w nocy się wysuwają najczęściej, i dokuczają twej duszy. Raz widzisz jak niosą umarłego do grobu, albo jak umarły, ni ztąd ni zowąd, wydobywa się z grobu i tu i tam się przemyka; drugi raz myśli o śmierci i o sądzie, jakby w czarne płaszcze otulone, gdy się obudzisz, przychodzą w odwiedziny do ciebie, nie pytając się o to, czy ty chętnie na to patrzysz i mile je przyjmiesz. Niektórzy ludzie z myślami takiemi mają wielką biedę, jak

nieprzymierzając z natrętnemi komarami w lecie. Im częściej je odpędzasz, tem częściej i zażarciej siadają ci na twarzy. Wiesz też dalej, że bardzo często śmierć na podobę wielkich potentatów, wysyła naprzód swych kuryerów czyli posłańców, którzy ją mają zameldować i drogę jej przygotować. A jak ci posłowie przyjdą, to już wcale trudno nie myśleć o śmierci. Temi posłańcami śmierci są: choroby i słabości ciała. Wybij sobie, braciszku, myśl o śmierci z głowy, kiedy tu naprzykrzony kaszel, ból i kolki w piersiach, febra, puchlina w nogach i inne choróbska i dolegliwości cielsko twoje trapią i podgryzają, że nie zadługo ma runąć, jak spróchniała chałupina. Ciekawym widzieć takiego! A wreszcie nie potrzeba się znać na doktorstwie, aby wymiarkować, że krucho z twem życiem, kiedy ci włosy na głowie posiwieją i wypadają, jako liść zwiędły z drzewa koło ś. Marcina, tak że twoja głowa niczem się nie różni od trupiej głowy, którą grobowy nie raz wykopie na cmentarzu, jeno tą cienką skórką, co ją jeszcze pokrywa. Albo kiedy ci się ręce i nogi trzęsą, jakby śmierć tam niemi potrząsała na próbę, czy się już z łatwością obalą, kiedy ci zęby się podziurawią i wyglądają jak piszczałki w organach, albo jeden ząb po drugim wypada i ucieka od drugiego, jako żołnierz, kiedy ucieka od wojska, i już naprzód poddaje się losowi, jaki wszelką kość i wszelkie ciało spotyka. Ale kiedy straszliwy exekutor odwiecznego sędziego, kiedy śmierć mocniej zapuka do spruchniałego i podgniełego domku twej duszy, tak że biedna duszyczka jak na dłoni widzi i miarkuje, kto to stoi przed drzwiami, kiedy śmiertelna jaka pochwyci cię choroba! oj, to tak wtedy nie jednemu się dzieje, jak ptaszkowi, kiedy zobaczy żmiję, co się zowie „grzechotnik". Żebyś to zrozumiał, to ci powiem, że kiedy straszliwy ten gad mignie swemi iskrzącemi ślepiami, swoją paszczę rozedrze i ku ptaszkowi wyciąga swój język, co jest jakby widelce, to taki strach i taka trwoga bije na ptaszka, że sam wlatuje w paszczękę tej jadowitej żmii. Więc teraz sobie myślisz: Ach, jakby to dobrze było, gdyby to można jakim sposobem te śmiertelne strachy, tę bo-

jaźń przed śmiercią odegnać! Otoż właśnie chcę cię tego sposobu i tej sztuki nauczyć. Dla tego nie będę ci tu pisał historyek o rozbójnikach lub różnych rzeczach. Nie będę ci tu też podawał sposobu na wygubienie myszy lub szczurów, nie będę pisał, że ten a ten nowy pług wynalazł, albo jak masz rolę mierzwić na wiosnę, ale ja ci tu wyszykuje leki na strachy śmiertelne. Te leki są sobie zwyczajne, a bardzo tanie i zawsze pomagają. Nikt jeszcze się na nich nie zawiódł. Najlepsze i najwięcej tych leków pochodzi od jednego pasterza, który przed-het kilka set laty, tam daleko za morzem żył w Azyi, a który więcej wiedział, niż wszyscy doktorzy, ministrowie, a nawet księża wszyscy razem, chociaż się nigdy nie uczył na doktora. Pewnieś ciekawy wiedzieć jak się nazywa. Otóż ci powiem: Nazywa się *Jezus Chrystus*.

Jednakże muszę cię wprzód ostrzedz, że jeśli te leki mają być skuteczne, to musisz inaczej robić, jak to nie jeden chory robi. Taki to sobie każe zapisać lekarstwo, i gdy mu je przyniosą, ogląda je ze wszystkich stron, powąchuje, próbuje, potem je odstawia gdzie w kąt, albo wyrzuca za okno. Musisz też na włos tak robić, jak ci tu przepiszę, bo inaczej to za twoje czytanie ani złamanego nie dałbym ci szeląga. Z drugiej znów strony leków tych nie masz na raz zażyć, boby ci niewiele co skutkowały. Co kilka jeno godzin zażyjesz pełną łyżkę. To się ma tak rozumieć, że nie raz, albo dwa to wszystko masz przeczytać, bo to na nicby się zdało, ale tylko co dzień, albo co tydzień przeczytasz sobie jeden kawałek. Im zaś mniej tych leków będziesz podawał twej duszy, tem lepiej będą ci skutkowały, to jest, tem lepiej będziesz mógł to sobie rozważyć i wziąść do serca i strawić, co tu wyczytasz, a ja się z tego tem więcej będę cieszył. Masz zaś tak robić zwłaszcza wtedy, kiedy ci jaki kawałek, albo zdanie podpadnie, że ci się zdaje, jakoby właśnie dla ciebie było napisane i jakoby palcem wskazywało na jaką przywarę twej duszy. Kiedy dalej rozmaite myśli obudzą się, kiedy ci serce po raz pierwszy zacznie bić mocno i niespokojnie: wtedy nie czytaj da-

lej, zamknij książeczkę, a zważaj na myśli, mianowicie na te, które ci się najgroźniejszemi zdają. A jeśli w tym natłoku myśli wynurzy się dobre przedsięwzięcie, to chwytaj je czemprędzej, jak gdybyś zobaczył w piasku złoto, i nie odpoczywaj, aż to przedsięwzięcie nabierze życia i siły. Następnie według tego sobie poczynaj. Bo trzeba ci wiedzieć, że dobre przedsięwzięcie, które natychmiast nie więdnie i nie usycha jak kwiatek ścięty na łące, ale które żyje i rośnie, i jaki dobry uczynek albo dobry nałóg z siebie wydaje że takie przedsięwzięcie jest drogim nader nabytkiem, który więcej znaczy, jak gdybyś parę mórg roli, albo kawałek łąki po jakim dobrym znajomym odziedziczył. A na ostatku, jeśli miarkujesz, że leki skutkują i smakują ci, to je zażywaj powtórnie, to się ma tak rozumieć, żebyś tę książkę jeszcze raz od początku czytał z taką uwagą, jakbyś był poganinem, który po raz pierwszy słyszy o Bogu.

W przyszłym numerze zaczniemy w imię Boże! (C. d. n.)

Bartosz Głowacki.

Napisał Piotr Zbrożek.

Dopiero będzie temu lat dziewięćdziesiąt i trzy, kiedy nasz naród rozbili sąsiedzi. Nasi ojcowie to pamiętają i niejeden siwy staruszek opowiada o dawnych lepszych czasach. Wtenczas panował nad Moskalami car moskiewski, a nad Niemcami cesarz niemiecki, a nad Prusakami król pruski, a my mieliśmy swego króla, co mieszkał w Warszawie. Warszawa to najładniejsze miasto na świecie. Przysiadła się po nad Wisłą między Mazurami. Z jednej strony Wisły przedmieście Praga, z drugiej sama Warszawa. Tyle tam kościołów, a mnóstwo pałaców. Ludzi po ulicach jak mrówek, każdy spieszy do swojej pracy. Jedni idą do szkoły, drudzy do sklepów, inni do warsztatów i do fabryk. Fabryki tam ogromne domy na piętra. Po nad dachami

sterczą wysokie kominy. Jak dzień boży dym z nich sadzi, widać pali się ogień. Tu robią papier, a tam kują kotły z miedzi do gorzelni, tu znowu świeczniki mosiężne i dzwony wylewają, tam składają wozy i kują koła setkami, a jeszcze dalej fabryka gwoździ. Naliczyć by się nie można tych fabryk, tych ludzi co w nich pracują. Pot płynie, naród uczciwie na chleb zarabia, ma i pieniądze, — a wzdycha. Przecie ta Warszawa takie śliczne miasto, jakby dopiero wyszło z pod wody. Takie czyste ulice, takie białe domy, takie duże szklanne okna. Z jednego szkła cała szyba, a po trzy łokcie długości. Po za oknami wiszą drogie materye świecą srebrne i złote naczynia, po za oknami kwitnące kwiaty. W takiem mieście powinni żyć ludzie jak w raju. Powinno być wesoło. Tam naród jak malowany. Mężczyźni chłop w chłopa, a co się ruszy, to wydaje się, że krew kipi w tych Warszawiakach, a panny i kobiety ładne, jak łanie. Jedna tylko Warszawa na ziemi! Ale popatrz w oczy tym ludziom. W nich się przebija żal i smutek. Biedni, nieszczęśliwi, Moskal ich ciśnie i poniewiera. Nie pewni dnia ni nocy. Jeżeliś bogaty to musisz się dzielić z wrogami, zabiorą majątek; niewinnego człowieka zamkną do ciemnego więzienia; sprawiedliwego zakują w kajdany za to, że sprawiedliwy. Po za granicą budują Francuzy i Angliki ogromne pałace dla słabych, szpitale, stawiają wysokie domy na szkoły. Na naszej ziemi buduje Moskal więzienia i kuźnie, gdzie kują kajdany na ludzi sprawiedliwych, na naszych braci. A i na Galicyą, bo myśli, że i tę część kraju potrafi zabrać. Ale Bóg da, to mu się nie uda. Stoi wielki gmach w Warszawie, Moskale nazwali go cytadelą. W tym gmachu trzymają swoje wojsko i naszych braci w kajdanach. Wojsko moskiewskiego cara, jak bydło nierozumne, strzeże naszych biedaków. Tysiące ludzi już tam w w tej cytadeli zamordowali, a choć gmach ogromny, nie ma w nim tyle cegieł, co się niewinnej krwi wylało, w tych murach. Ale Bóg sprawiedliwy, on nam pomoże do lepszej doli. Kiedyś te mury obryzgane krwią niewinną, będą świętym kościołem naszego narodu, bo tam zginęło tylu męczenników.

Dziewięćdziesiąt i trzy lat temu, mieliśmy króla w Warszawie. Nazywał się Stanisław August. Ale źli sąsiedzi Moskale i Niemcy zmówili się byli, aby nasz kraj rozebrać pomiędzy siebie. Nad Moskalami panowała wtenczas caryca Katarzyna. Ona udawała przyjaźń dla naszego narodu. Mówiła że nas kocha, a nawet zaprzysięgła, że nie pozwoli wyrządzić nam krzywdy. A naród wierzył, choć i między nami byli ludzie rozumni, co przestrzegali. Oni zapowiadali naprzód, że na tej moskiewskiej przyjaźni źle wyjdziemy. A tymczasem zmawiał się z drugiej strony na nas cesarzewicz niemiecki Józef i król prusaków Fryderyk, co go Niemcy nazwali Wielkim. Prawda, dla nich był wielkim, bo nam dużo krzywdy wyrządził. Jego następca narodowi naszemu przyrzekł, że będzie nas bronił. Nawet, jeżelibyśmy wojnę prowadzić mieli, miał nam dać pomoc. Nasi i jemu wierzyli. I on nas odstąpił i zdradził. My dziś synowie i wnuki tych dobrodusznych ojców, co tak każdemu wrogowi wierzyli, pamiętajmy, że trzeba myśleć samemu o sobie, i jeżeli mamy silne i zdrowe ręce, nie oglądać się na nikogo. Człowiek dostał od Boga to wszystko, czego mu tylko potrzeba: Ręce i rozum. Z tem sobie łatwo poradzi. Tylko kaleki i nierozumne dzieci potrzebują opiekunów, a a naród może sam o własnej stać sile.

Zapomnieli o tem nasi ojcowie i przyjęli opiekę Moskali. Caryca Katarzyna prosiła naszego króla, aby pozwolił przez nasz kraj przeprowadzić jej wojsko. A była niby przyjaciółką naszego narodu. Rozumni ludzie gniewali się i mówili: nie wpuszczajcie wilka między owce, bo Moskal jak wilk drapieżny. Ale caryca grzecznie prosiła: Ja tylko moje wojsko przez wasz kraj przeprowadzę, bo idę na Turka. Ja wam krzywdy nie zrobię. Jak zaczęła namawiać, a przyrzekać złote góry, aż zapomniał się naród, i pozwolił. Więc weszli na naszą świętą ziemię Moskale. Idą piesi i konnica, za sobą wiodą ciężkie harmaty, że aż ziemia stęka, a wszystko niby na Turka. Jak szli tak zostali u nas. Rabując wsie i zabijając ludzi. Teraz dopiero zrozumieli nasi, żeśmy wilka wpuścili do owczarni. Trzeba było usłuchać mądrych

i nie wierzyć wrogom. Zapóźno przekonał się naród, że nas oszukała caryca Katarzyna. Moskiewska ziemia zimna i nieurodzajna, a taka smutna, jak dzień słotny. Nam dał Bóg kraj piękny, bogaty i urodzajny, pszeniczkę złotą i dzieci rumiane. Skoro zasmakowali naszego chleba ciężkie wrogi, już im się odechciało wracać do swoich śniegów i lodów.

W tak wielkiem nieszczęściu jedni u nas opuścili ręce, drudzy kłaniali się nieprzyjacielskim carom i monarchom. Choć pismo święte naucza: Nie będziesz się kłaniał cudzym bogom. Ale byli i tacy, co radzili, jakby wypędzić wrogów z ojczyzny.

W Warszawie nasz król mieszka i nasze własne wojsko. Ale i Moskale naleźli niby przyjaciele narodu. Ludzie rozumni, co ojczyznę kochają, radzą po kątach, jakby wypędzić nieprzyjaciela z miasta i z kraju. Moskal wącha, że się coś święci. Jak psów rozpuścił szpiegów po mieście. Nie było rady, sprawiedliwi musieli uciekać i za granicą przygotowywać się do wypędzenia nieprzyjaciela. Tułają się po Niemczech, po Francyi i po Italii. A tu zima, śnieg zasypuje pola i lasy i w oczy bije. Zima w powietrzu i w sercach obcych ludzi, co źle patrzą na naszych braci za granicą, na synów naszej nieszczęśliwej ziemi ojczystej.

Tamci wyczekują za granicą, aby już przeszła ta ciężka zima, to może i dla narodu wolność zawita. W kraju lud wzdycha do Boga, aby wrócili przywódzcy, aby się rzucić na wroga i wypędzić z ojczyzny. Cicho stoją wioski po polach. Chaty śniegiem przykryte, niby białemi płachtami. Dzieci siedzą za piecem po chałupach, a ludzie pracują w kożuchach. Dzień po dniu w pracy. W niedzielę płynie naród czysto ubrany do kościołów. Gorąco się modlą do Boga, a ciężko się biją w piersi, a proszą: Boże daj nam doczekać tej wiosny, aby już można uwolnić się z niewoli moskiewskiej. Minął tydzień jeden jak drugi, tylko czasem zaleci do wsi oddział moskiewskiego żołnierstwa. Rozbiegną się po domach. Każdy porwał co tylko zobaczył, ten kożuch gospodarzowi, tamten zdarł gospodyni korale, inny znowu

rozbił skrzynię, i zabrał wszystko, co tylko było. Po drodze łapią kury, gęsi, i zabierają ze sobą. Po wsi krzyk jakby w dzień sądny. Dzieci płaczą i uciekają i kryją się po podławy. Gospodynie narzekają i proszą, a gospodarze stoją spokojnie, ściskają w pięści siekiery, ale nie rzucają się na wroga, bo wiedzą, że by rady nie dali. Tylko wzdychają: Jakże to ciężko doczekać się tej wiosny, aby razem całym narodem wystąpić, i bronić swojej ziemi i swego dobytku. Na drugi dzień znowu słońce wstało. Ludzie we wsi pocierają oczy, patrzą po chacie, pusto, jakby wymieciono, obrazy potłuczone, w komorze próżno, jak po wojnie. Boże zmiłuj się nad nami! A tu dzieci płaczą: chleba! Gospodynie stoją ze łzami w oczach. Gniewają się na mężów.

— Gdybym ja była chłopem, to bym porwała siekierę i cięła w przeklęty łeb moskiewski, jak w jasną świecę. Ty gospodarz masz pole i chatę, dajże jeść swoim dzieciom. To my kobiety mamy się starać o wszystko, i jeszcze zasłaniać własny dom od napaści?

— Poczekaj do wiosny, mówił gospodarz, aż przyjdą nasi dowódzcy z zagranicy, to wszyscy pójdziemy.

A gospodyni: Poczekaj, poczekaj! Nim słońce zejdzie rosa oczy wyje! A gdy jeszcze raz przyjdą tu Moskale, to nas pozabijają. Słyszałeś przecie, że w sąsiedniej wsi onegdaj kilkoro dzieci zabili z rozpusty.

Gospodynie rozżalone gniewają się jeszcze, a gospodarze czują, że to święta prawda, i mruczą pod nosem: Do wiosny! do wiosny! I dziewczęta śmieją się z parobków, że tchórze: Na co nam takich mężów, oni by jeszcze sami wszystko oddali Moskalom i prosili, aby przyjmowali. Parobcy także pospuszczali oczy, a ściskają pięści i przez zęby cedzą: Do wiosny, do wiosny!

W nieszczęściu pomału się czas wlecze, ale przecie mija. Ciągle źle być nie może. Nadeszła oczekiwana wiosna.

Po gościńcu do Krakowa toczy się wózek zaprzężony parą dobremi końmi. Konie popędza gospodarz z Rzędowic Bartosz Głowacki. Jechał wesoło, uśmiechnięty, czerwona czapeczka z pawiem piórkiem, a konie czeszą, że aż iskry wyskakują z kamieni.

Bartosz człowiek bywały, ma dużo znajomych. Co przez jaką wieś jedzie, to ktoś go powita.

Jak się macie Bartoszu!

Bóg zapłać za pamięć. Dobrze!

A dokąd droga prowadzi?

Jadę do Krakowa za kupnem.

Szczęść Boże wołał stojący przy drodze. Bartosz już ledwie dosłyszał, gwiznął biczem po nad końmi i dalej pojechał. Bo każdemu czas drogi. Angliki powiadają, że czas to pieniądze. Prawda, bo kto czasu na próżno nie traci to ma pieniądze. Bartosz nie wiedział, co tam sobie mówią Anglicy. Z własnego tylko rozumu nie marnował czasu, a szanował pieniądz, bo bez pieniędzy nic człowiek na świecie nie zrobi. Jedzie, popędza koniki, a myśli sobie czy też ja trafię w Krakowie przed nocą, aby przecie jeszcze za dnia rozglądnąć się po mieście. Nie jedno miał kupić i dużo się chce dowiedzieć. W Krakowie ludzie rozumni, wiedzą a ledwie nie słyszą jak trawa rośnie. Ot dzięki Bogu i wiosnę mamy, a słyszałem nie raz, że na wiosnę będziemy pędzić Moskala. Kupię w mieście nową kosę, aby było co w rękę uchwycić. Tak Bartosz się zadumał, a słońce idzie po niebie, ale coraz niżej. Już pochyliło się nad lasem. Już się za lasy schowało i zaczerwieniało drzewa i niebo. Bartosz się ocknął. A no koniki, już nie będziemy za dnia w Krakowie.

Pochłodniało w powietrzu, jak to zwyczajnie na wiosnę nim liście zaszumią na drzewach. Już gwiazdki jedna za drugą wychodzą na niebo. Ładne, jasne iskierki. Wiele ich tam być musi. Człowiek się naliczyć nie może. W książkach napisano, że to takie wielkie światy, jak nasza ziemia, i jeszcze większe po tysiąc razy. Takie maleńkie się wydają, bo tak bardzo od nas daleko. Pewnie musi to być bardzo wysoko, kto się dobrze wpatrzy, to już widzi jakie to oddalenie niezmierzone. Głowa się kręci, kiedy się wpatrzy w to niebieskie morze, gdzie gwiazdki pływają, jak świeczki po wodzie na św. Jędrzeja.

Wjeżdża Bartek do Krakowa, a o gwiazdach myśli. I

patrzy po ziemi a tam w ulicy tyle świec, tyle pochodni, aż jasno w mieście, jak w bialutki dzień. Szpilkę by znalazł na drodze. Musi być jakieś wielkie święto. W każdem oknie się palą. Bartosz chce jechać dalej, ale nie może. Tyle narodu na ulicach. Więc skręcił w boczną ulicę, aby stanąć w zajeździe. Prędko wyprzęga konie, zarzuca im siana, a tymczasem szuka kogo by zapytać, co się w mieście stało. Chodzi stróż po sieni. Proszę was, powiedzcie co to za procesya w mieście?

Ej to nie procesya. To naród wyszedł przywitać pana Kościuszkę.

— Słyszałem ja już o panu Kościuszce. To nasz jenerał, co się bił za wolność jakiegoś narodu, aż na drugim końcu świata. A — teraz wiosna, więc do nas przyjechał.

Tak mówił Bartosz, kiedy nagle doleciał z miasta głośny krzyk, ale tak silny, jakby z piersi całego narodu. Już jest! zawołał stróż. Witają go! I znowu słychać było krzyk silny, a już można było zrozumieć; wolno: „Niech żyje! Niech żyje!“ Bartosz już zrobił porządek przy koniach i na wozie. Kazał uważać stróżowi, a sam prędko wyszedł i puścił się prosto na rynek. Jeszcze kilka razy odezwał się naród. „Niech żyje!“ I nasz gospodarz z Rzędowic także z całego serca wykrzykiwał. Czerwona czapka na głowie, a w żyłach czerwona krew u Bartosza. Cały naród się cieszył, to i on z narodem. Chciałby jeszcze widzieć jenerała Kościuszkę, stał długo, ale daremnie. Już świece i pochodnie pogaszone na ulicy, tylko we wszystkich oknach jasno, a najjaśniej w ratuszu. Tam się zebrała starszyzna, przyjmuje i radzi z naszym jenerałem. Ludzie pomału rozchodzić się zaczęli do domów. Poszedł i Bartosz, bo już było po północy. Cicho odpoczywa Kraków. Po kamienicach świeca gaśnie po świecy. Już całkiem ciemno i głucho, tylko Wisła płynie jak zawsze, po drogach snują się nocni stróże i wojskowe patrole wyjeżdżają za miasto.

Nazajutrz rano słońce się pokazało. Powietrze takie świeże, a zdrowe, że aż miło oddychać. Po przez miasto płynie spokojnie biała Wisła. W nocy w jej wodzie odbiły

się światła miejskie. W nocy odbiło się na wodzie głośne wołanie: „Niech żyje Kościuszko! Niech żyje wolność!“ Woda poniosła daleko te słowa przez nasz kraj. A gdzie się tylko fala o brzeg odbije, słychać słowa: Niech żyje wolność! Ludzie stali nad wodą, ludzie rozumieją szum swojej rzeki. Bo ta Wisła dużo mówi i wiele pamięta. Ta Wisła widziała naszych królów jak moskiewskich carów prowadzili w kajdanach. Widziała, jak nasz naród Niemców zwyciężał, a ich książąt zabierał w niewolę. Ale wrogi szumu naszej rzeki nie rozumieli i nawet się nie domyślali, co się święci w Krakowie.

Bartosz wstał wcześnie i wyszedł na miasto. Ruszają się pracowici ludzie. Więc wstąpił to tu, to tam a wszędzie coś kupił. Zaszedł także do żelaznego sklepu. Miał kupić jedną kosę. Ale pomyślał sobie. Mój Boże taka śliczna wiosna, taka jasna pogoda. Naród już tutaj wolny, ma swoje wojsko i swego naczelnika, to też po takim zasiewie, po takim początku, będą bujne żniwa. Człowiek ma pieniądz w kieszeni, wyrzucić by go szkoda, ale użyć na pożytek ludzki, to nie zmarnowany. Kupię ja kos dwadzieścia. Między sąsiadami się rozdzieli, to i ciężko nie będzie. Nowa kosa przecie lepsza, niż stara. Wchodzi do sklepu i każe podać kosy. Kupiec człowiek rozumny, zmiarkował na co Bartoszowi tyle kos naraz. Wybrał więc sam, co najlepsze, hartowane, a kiedy już dobrze zapakował, rzucił się na szyję gospodarzowi i całował, jak rodzonego brata. Pieniędzy nie przyjął tylko za połowę. Mój bracie, powiedział do gospodarza, gdy będzie po wojnie, a będziemy wszyscy na swobodzie, to i moje kosy już przeto będą zapłacone.

Kupiec miał łzy w oczach i gospodarz z Rzędowic. Uściskali się jeszcze raz i rozeszli. Bartosz prędko zaniósł do zajazdu swoje kupno, aby w czas wrócić na rynek.

Ciąg dalszy nastąpi.

MARCIN LORENC.

Włościański syn, rycerz polski.

Przy mieście polskiem Krośno leży wieś Krościenko-wyższe tak nazwane dlatego, że leży wyżej nad rzeką Wisłokiem, niżej zaś nad rzeką znajduje się Krościenko-niższe. Za polskich królów było w okolicy starostwo Jasielskie, do którego należało miasto Krośno z wsiami, a więc i wieś Krosienko wyższe i niższe, a dalej Korczyna i Zamek Odrzykoński. Królowie polscy podarowali Zamek Odrzykoński z bliskiemi wsiami zasłużonym panom, jak Kamienieckim, Bonarom, Firlejom a na końcu dostał hetman Branicki Jan. Po podziale Polski dostała się Galicya w r. 1774 rządowi Austryackiemu. Ostatnim starostą polskim Jasielskim był Hr. Józef Jabłonowski, dziedzic Krościenka i wsi bliskich.

Otóż w Krościenku wyższem urodził się Marcin Lorenc i dostał się na lokaja do dworu w Krościenku.

Nie umiał on ani czytać ani pisać, bo wtedy nie było szkoły we wsi, ale przez własną ciekawość nauczył się od starszego lokaja czytania, pisania i rachunków. Hetman Branicki Jan, dziedzic zamku Odrzykońskiego i bliskich wsi, umarł r. 1771 w jesieni, odtąd Zamek został pustym i opuszczonym.

Ale na zamku pozostał wierny sługa, którego nazywali ludzie Machnickim, a który z żalu wielkiego za swą Ojczyzną straconą i za dobrym panem dostał aż pomieszania rozumu, siedział on sam na Zamku, choć dach na nim gnił i mury się waliły, a do bliskich dworów i księży przychodził jak dziadek po jałmużnę.

Jako obłąkany nosił w ręce gałązki zielone, a idąc przez wieś do dworu lub na plebanię, śpiewał pieśni, albo gadał sam do siebie i z płaczem opowiadał o królach i hetmanach polskich.

Przychodził on najczęściej do dworu w Krościenku, gdzie był lokajem Marcin Lorenc, opowiadał mu z płaczem, co mu strasznie ciężyło na sercu, co mu aż głowę przewróciło i ciągle na myśli we dnie i w nocy stało, i do płaczu i skargi pobudzało a Marcin słuchał skargi waryata, nieraz sam zapłakał nad opowiadaniem różnych ciekawości, a każde słowo waryata brał sobie do głowy, po nocach rozmyślał, drugim sługom dworskim opowiadał, starszego lokaja pytał czy to prawda co mu Machnicki ciągle mówi.

Z takiego opowiadania Machnickiego dowiedział się Marcin Lorenc, młody jeszcze dworak, dużo ciekawych rzeczy o kraju polskim, o królach, o panach w Odrzykoniu. A z ciekawości sam biegał, jak miał czas w święto, na bliski Zamek Odrzykoński, oglądał mury, baszty, studnię głęboką i wykutą w skale, nawet zazierał do piwnicy, o której mu ludzie różne gadki opowiadali, przypatrywał się kamieniom i cieszył się z tego, że umiał drugim sługom i włościanom opowiadać, co sam sobie spamiętał.

Takie ciekawości zrobiły w jego głowie zmianę wielką, bo dowiedział się, że miasta, zamki i wsie były poprzód królów i panów polskich dziedzictwem, że nie tylko sami panowie, ale i mieszczanie i włościanie wszyscy byli od wieków Polakami i są takimi, choć należeli do Austryi, a więc że on sam, choć z wiejskiego stanu i lokaj dworski, także był Polakiem.

Gdy został sam lokajem, zrobili Polacy w Warszawie w dzień św. Andrzeja r. 1830 powstanie przeciw Moskiewskim Carom, którzy Polaków bardzo uciskali.

Marcin Lorenc czytał z zapałem po nocach, co gazety o wojnie polskiej z Moskalami pisały, brał sobie dworskie gazety do swej izdebki, czytał z ochotą, a potem nie mógł usnąć, tak go ta wojna rozciekawiła.

Ja, co to piszę, znałem tego Marcina dobrze, bo był krewnym mej matki i chodziłem do dworu uczyć się na książce z dziećmi ogrodnika Stęczyńskiego, i widziałem, co ten Marcin wyrabiał, bo chciał wiatrem lecieć i bić Moskala.

Ja usługiwałem do mszy św., otóż widziałem, jak, po

mszy w niedzielę on gromadził lud i głośno opowiadał, co się dzieje w Warszawie, a potem namawiał, aby kto z nim szedł do Warszawy.

Otóż rzucił służbę lokajską! Pan Leon Jabłoński dał mu konia, wyprawę całą na wojnę, pani dała błogosławieństwo, obiecali mu nagrodę, jak wróci, i poszedł sam jak palec do Warszawy za ję[illegible] bez przewodnika.

Zapytacie, czy wrócił?

Oto r. 1831 przed Matką Boską Siewną doniósł jeden rycerz polski, co przybył od Warszawy do nas, bo się wojna kończyła, i przyniósł pismo takie:

Marcin Lorenc, syn włościański z Krościenka, dostał gwiazdę na piersi srebrną od polskiego Jenerała Skrzyneckiego za śmiałość i odwagę i zginął w strasznej walce przeciw Moskalom pod Ostrołęką i tam pochowany.

Oto rycerz z chaty włościańskiej!

Wy, co to czytacie, uczcie się od tego Marcina, jak macie kochać kraj polski i jakimi powinniście być Polakami, a a rodzina Lorenców niech się chwali wszędzie, że miała takiego w rodzie, że o nim dziś piszą i pisać będą.

Rozmaitości.

Miłe powinszowanie. Ojciec. (Siedzi w krześle z podwiązaną twarzą) Pffff — o Jezu Chryste!.. Przeklęty ząb... takie cierpienia,.. i to właśnie w dzień moich imienin... Aaaj!... Teraz już nie wytrzymam!

Córka. Są tu powinszowania, czy przeczytać?

Ojciec, Jak chcesz. A bodaj go... ojoj!

Córka (czyta). Od pana Józefa: „Niech całe twe życie będzie ci tak miłe, jak dzień dzisiejszy.

Ojciec. O Boże! Tego tylko brakowało.

Córka. Od ciotki: „Co cię miłego dzisiaj spotkało, niech cię spotyka w każdej chwili.“

Ojciec. Aaa! Czy ciotka zwaryowała?

Córka. Od zięcia: „Spędź całe życie w takim spokoju jakiego dzisiaj używasz.“

Ojciec. Ten osioł może wiedzieć o moim spokoju? Ooo! Jezu Chryste!

Wzór do zakończenia listów. Jestem zdrów, nie mam butów, czego i kochanemu ojcu życzę. Przywiązany syn *Agapit.*